№ 18.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1845. Poznań, dnia 1. Września.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

PODRÓŻ
po krajach Skandynawskich

przez
JĘDRZEJA MORACZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Z pomiędzy wielu miejsc w okolicach Kopenhagi po których tysiące szukają zabawy, najciekawszym jest zwierzyniec. Od Śgo Jana dawniéj przez kilka tylko tygodni, teraz już niemal przez lato jest tam pełno ludu: rozumie się, że w niedzielę najwięcéj. Obszerny plac zakrywają namioty, znowu menażerye, różne sztuki, pełno kuglarzy, muzyki, harfiarek, poliszynelów zgoła co tylko można widzieć u nas po odpustach i jarmarkach, a w niedzielę w Paryżu na polach elizejskich: wszystko się tu znajduje, wszystko na większą jeszcze skalę, wszystko częściéj powtórzone, a pod rozmaitszemi formami. Tu stroje niemieckie bardzo różnorodne: z pod saméj Kopenhagi chłopi mają kapelusze, pantalony, kamizelki, krawaty, rękawiczki, wszystko zgoła jak dworscy eleganci, tylko z tą różnicą że nie noszą fraków, ani tużurków, ale kurtki lubo częstokroć ze zapięciem i krojem z przodu zupełnie podług mody, sukno i materye także piękne i w kolorach według świeższéj lub dawniéjszéj mody. Widać też wielu chłopów, którzy mają tylko szarawary jakby kozackie, ale krótkie do wpółgoleni; według okolicy są coraz skromniejsi, aż nareszcie ubodzy, ale niezmiernie czyści w ubiorze. To samo kobiety, a z pod Kopenhagi dziewczyny, które zapewne w Tivoli nabrały manier już też z pewną sztuką, ale bez przysady przeginają cienkie kibicie i umieją tak w ręku trzymać cieniuteńkie białe chustki od nosa, aby było widać piękne na rogach hafty. Gdyby z głowy pozrucały swoje złote czapki z czerwonemi wstęgami aż do krzyżów sięgającemi i odpięły fartuchy, byłyby elegantkami wystrzyżonemi z Dziennika Domowego. Widać, że tak niebyło dawniéj, bo tym pannom wielkiego już świata matkują częstokroć matrony w kamlotach z kitajowémi fartuchami i w czarnych słomianych kapeluszach głęboko twarz kryjących. Trąby wzywające do rozmaitych bud na widowiska, kołatania karusselów, skrzypienia huśtawek, muzyki, śpiewki niewidomych, objaśnienia obrazów przedstawiających różne sceny z życia nieszczęśliwych dziewczyn i wypadków, ożywiają bardziéj jeszcze wijące się tłumy po szerokich chodnikach zwierzyńca, w którym widać tylko graby i buki ogromne z małemi gdzie niegdzie dąbkami. Ludzie z wyższych klas społeczeństwa a mianowicie wysokiego stopnia oficerowie lądowi i morscy bawią się porówno z drugiemi. Upatrywałem tu przynajmniéj taką równość pomiędzy ludźmi, że mię radość przenikała, którą atoli zaraz mi przytłumił nasz lohnlokaj: widziałem, że powóz w którym przybyło nas czterech, stał oddzielnie i za rogatką, przez którą mało komu dopuszczano przejazdu; zapytałem się więc czemu nam ją od razu otworzono, kiedy inni od niéj nawracać muszą; pokazał mi palcem i objaśnił, że to z téj przyczyny, że konie nasze mają na głowie klucze bronzowe, jak zwykle u szorów na zaprząg czterokonny, a w kółkach tych kluczy po blaszcze bronzowéj ruchoméj jak dwózłotówki i dodał, że z takimi kluczami przejeżdżać wolno. „Te klucze muszą więc coś znaczyć?“ zapytałem się.

„Znaczą wiele, odpowiedział, to jest, że w tym powozie jedzie ktoś od dworu, albo téż ktoś ze szlachty, bądź krajowéj, bądź zagranicznéj i furman najęty od cudzoziemców, pyta się gospodarza u którego leżą paszporta, jak ma zaprządz, aby czasem komu nieuchybił, lubo panowie, co już wiedzą, niekiedy tak wymagać niekażą". Postrzegłem więc, że tu nietylko niepojmują równości, ale że powóz i konie mogą nabywać przywilejów i cała zabawa od razu zdawała się mniéj wesołą.

W Kopenhadze pomiędzy wielkiemi zbiorami i muzeami które jednak niemogą iść w porównanie z temi co są w zachodniéj Europie, zajęły nas po zbiorze starożytności, warsztat Torwaldsena i zamek Rosenborg przez Christiana IVgo obrócony na rezydencyą królewską. Wszystko tam zachowane jak było za tego króla społczesnego Ludwikowi XIVmu i jemu nie pod jednym względem bardzo podobnego. Oglądanie szczegółów, a mianowicie składów broni, garderoby i różnych sprzętów, zajęło nam kilka godzin. Wchodziliśmy na wieże Kopenhagi, z których jedna bardzo gruba, ma ganek nie ze wschodami, lecz brukowany cegłami, a wijący się w koło tak przestronnie, że Piotr wielki wjeżdżał na wierzch wieży konno, a swoją Katarzynę kazał powozem wewieść.

W niedzielę odwiedzaliśmy kościoły i słuchaliśmy kazań, rozumie się, nierozumiejąc ani słowa. Dziwnie wyglądało, że jeden pastor miał przypięte na todze dwa ordery ze wstążkami; w obliczu Boga niepowinienby kapłan ze wstążeczek szukać zaszczytu i chełpić się przed ludźmi, pomiędzy którymi winien chełpliwość przytłumiać. Kościół zwany *Vor Frue Kirke* jest jedną z największych ozdób Kopenhagi, nie przez swą budowę, bo w greckim stylu, poprzegradzany łożami i galeryami jak zwykle kościoły ewanielickie, do tego niski i niebardzo wielki: kościołom odpowiada tylko styl gotycki, wzniosły jak duch chrześcijański. Vor Frue Kirke z tego jest pierwszy w Kopenhadze, że w ołtarzu stoi Pan Jezus kolosalnéj wielkości a przez cały kościół w dwuch liniach od ołtarza stoją apostołowie nieco tylko mniejsi a dłuta Torwaldsena. Ci co się znają na sztuce i z pisma świętego wyrozumieli charakter każdego z apostołów, nieumieją dosyć wychwalić tych świętych posągów. Rzeczywiście nietylko Pan Jezus jaśnieje dziwną słodyczą charakteru, poświęceniem, ale w pięknych rysach młodego Jana ewangelisty maluje się głębokość rozumu, zapał dla prawdy i tak u każdego apostoła co innego. Przy wchodzie do kościoła stoi w trumnie Torwaldsen, ale późniéj będzie przeniesiony do muzeum.

Nasze przejazdki w okolice Kopenhagi i podróż pocztą zwyczajną do Helsingör, dały nam sposobność do poznania niektórych części wyspy Zelandyi, na któréj leży Kopenhaga; wsi na niéj jest nie wiele, ale pełno porozrzucanych osad włościańskich, domy powiększéj części pod słomą, w reglówkę, a wykładane syrówkami; wszystkie wyrzucane wapnem i białe, pola podzielone na rotacye płodozmienne, bydło i konie pasą się po bujnych koniczynach, pszenicy i rzepaku nie wiele widać, ale żyta bujne wszędzie. Grunta doskonale domierzwione, uprawa głęboka, chodowla owiec nie może kwitnąć dla niskiego położenia. Łąk jest wielki dostatek, kopalnie torfu obfite, od których tu i owdzie wiatrak odprowadza wodę, i trafia się często okolica, mająca zupełnie postać Holandyi, n. p. pomiędzy Harlemem a Hagą. Poczta urządzona jak pruska.

W Kopenhadze zmieniliśmy kilka lujdorów na pieniądze większe szwedzkie, a przywiózłszy kilkanaście Riksdalerów duńskich do Helsingör, chcieliśmy za nie drobnych papierów szwedzkich, jakoż za summę wynoszącą może 70 złotych polskich, dostaliśmy takie ogromne pakiety papierów szesnasto, dwunasto i ośmio szelingowe, żeśmy zapakowali pugilaresy i jeszcze paczkę tak grubą jak dwie talie kart, musieliśmy schować między suknie.

Z Helsingör, pomiędzy forteczką Kronborgiem a pustą wysepką, na któréj widać rozwaliny obserwatorium sławnego Tycho Brahe, przebyliśmy w godzinę Sund, na malenkim paketbocie, płynęło z nami jeszcze dwóch pasażerów cywilnych, ale ile się zdaje, jeden był oficer. Zwiedzał on obec kraje dawniéj, poznał, że mówimy po polsku, umiał dobrze po niemiecku; wyszedł naprzód z łodzi i na lądzie podał nam rękę z oświadczeniem, iż miło mu bardzo, że w imeniu Szwedów może nas pierwszy powitać na ziemi swojéj. On zaraz odjeżdżał daléj, a nas oddał służącemu z jednego hotelu z Helsingborg, umiejącemu nieco po niemiecku. W parę godzin gospodarz hotelu zawiadomił nas, że osoby z okolicy używające kąpieli morskich, dają wieczór z tańcami i kazał służącemu na bal nas prowadzić. Wszedłszy do sali, udałem się do pierwszego młodego Szweda, który mi się zdawał być jednym z tych co zabawę urządzali, trafiłem dobrze bo na doktora filozofii z Sundu, nazywał on się Wengberg, przyjął nas bardzo uprzejmie, mówił po niemiecku, znał należycie historyą szwedzką, rozprawialiśmy o uniwersytecie lundzkim, o bibliotekach, o wojnach Gustawa Adolfa, Karóla Gustawa, o kampanii r. 1831. i o różnych historycznych przedmiotach: narobiłem znajomości i z innymi. Wino tu

bardzo drogie, jest już niezwykłym napojem, więc byłem zaproszony na poncz z białego araku — i muszę przyznać, że bardzo smaczny, ale mi był za tęgi, tak, iż po jednéj maleńkiéj filżance, przez całą noc miałem we śnie prawie aż gorączkowe marzenia. Tańce trwały ku jedenastéj godzinie, a tańcowano kontradanse, galopady i walce. Szwedki i Szwedzi przystojni, żwawi, w poruszeniach naturalni.

W Szwecyi dyliżansów tylko kilka chodzi i to utrzymują kommunikacye tylko ze Stokolmem: w Helsingborgu wsiedliśmy na taki dyliżans, który wreszcie był próżny, a dopiero w drodze przybyło kilka osób. Urządzenie tych dyliżansów pokazuje, jakie były poczty w swym pierwotnym stanie. Po miasteczkach nie masz poczmistrzów, ale jaki taki kramarz utrzymuje kantor pocztowy; tam się oddają pieniądze, listy, pakiety i zapisują się passażerowie. Przy dyliżansie nie masz konduktora, ale wszystko robi pocztylion. Przeprzągi są po wsiach przy karczmach, a czasem na polu; pocztylion jest zawsze ten sam, a konie dostawiają chłopi i to bez wszystkiego, tylko nagie. Chomąta z łańcuszkami zamiast postronków, należą do powozu; na cztery konie składa się najczęściéj dwóch chłopów, ale czasem i czterech; jeżeli chłop dorosły spóźnia się z końmi, to pocztylion skarzy go w pierwszym kantorze, jeżeli chłopiec, to mu daje w skórę i sprawa skończona. Jeden a najwięcéj dwóch chłopców od koni siadają na skrzynkę, na któréj leży chomąto rezerwowe, a pocztylion powozi, nie szczędząc bicza i niezakładając z góry hamulca, lecz owszem ruszając galopem. Spoczynki przy przeprzęgach, dwa tylko trwają po godzinie, a to około 10. dla śniadania i około 4. dla obiadu. O godzinie 8. na wieczór stawa poczta dla noclegu i dopiero o 6. rano rusza. Passażerowie śpią zwykle w tym samym domu, gdzie nocuje dyliżans; pocztylion każe ich o wpół do piątéj pobudzić, muszą się popakować, napić kawy, a o 6. trąbi i rusza. Po drodze, a nawet w polu, pieniądze, pakiety, listy, passażerów, wszystko to przyjmuje pocztylion i w najbliższym kantorze zapisywać każe. Taki pocztylion musi umieć dobrze czytać, mieć rozsądek, należyte wykształcenie praktyczne i umieć dobrze powozić. Mnie przynajmniéj szwedzkie dyliżanse bardzo do smaku przypadły, mało piśmiennictwa, żadnych formalności, a choć się w nocy śpi wygodnie, to w dwudziestu czterech godzinach ujedzie się tyle co i u nas, ciągłego doznając kołatania.

Od Helsingborg aż pod Laholm, kraj bardzo piękny, domy chłopskie gustownie budowane, grunt urodzajny, wsi prawie niema, ale po całém polu bielą się pojedyńcze zagrody i gęste kościoły; po bokach raz z téj, raz z owéj strony drogi, widać pasma pagórków granitowych, a z lewéj strony raz po raz ukazują się brzegi Kategatu, ożywione wydętemi żaglami okrętów. Około Halmstad kraj już uboższy, około Quiville i Sloinge pasmo pagórków granitowych już nie tak nagie, ale trochę drzewami pozarastane, lecz za Falkenbergiem okolica coraz mniéj urodzajna, pasma gór znowu łyse, lubo wznioślejsze; już się domy nie bielą, są z blochów, lubryką czerwoną ufarbowane, ale téż bez farby, aż czasem bardzo nikczemne drewniane chatki, lub z niezgrabnych kamieni jako tako złożone, a pokryte tylko trawą morską, poprzyciskaną kamieniami. Przy domach suszy się na słońcu stokfisz. Bydło i konie w okolicach urodzajnych bardzo piękne, ale w nieurodzajnych wcale liche. Pan Ignacy Lipski po całéj drodze nie miałby wielkiéj pociechy, bo nietylko tu nic nie wiedzą jak przez pokolenia krzyżuje się wełna, ale pełno jest owiec czarnych z łysinami i prawie nie z wełną, ale z grubym włosem. Gdzie grunt lepszy, tam stadka tylko po kilka owiec, a gdzie gorszy, to jest skalisty, stada idą w kilkadziesiąt; żwawe barany są posforowane na drążki i jeszcze mają jednę nogę przednią związaną z nogą tylną, nie na krzyż, lecz wprost; nie tracą jednak dobréj miny w tak niewolniczém położeniu, ale z wierzchołka nagiéj skały przypatrują się przejeżdżającemu powozowi. W bliskości Götheborgu, który jest pierwszém miastem po Stokolmie, choć niewiększy jak nasza Bydgoszcz, okolica znowu piękna i bardzo piękna. Jest to téż drugie miasto murowane, bo się kilka razy niedawno spaliło, inne miasta drewniane. Pasma skał wysokie, z obudwu stron drogi, od stóp drzewami zarosłe. Domki chłopskie drewniane, ale pod dachówką, bo pod Götheborgiem jest cegielnia, rzadki zakład w Szwecyi. W bliskości od miasta chłopi piją po karczmach gorzałkę i próbują siły na przełamywaniu się w palcach, a rzadko widać trzeźwego. Nasza postawa wydziała im się cudzoziemska, i jeden dobrze pijany przyszedł do powozu na rozmowę z moim towarzyszem, mówiąc pół po szwedzku a pół po angielsku, dowodził mu, że prawie zna Polskę, bo był w Hamburgu i w Bremie jako majtek. Potrzeba, matką wynalazków, dosyć, że nietylko mój towarzysz, ale i ja rozumieliśmy Szweda.

To trzeba Szwedom naganić, że wódka tak należy do zastawienia stołu, jak sól i pieprz; wódka pije się wszędzie, pije się bezpłatnie, i tak jak w Polsce, nie powoli, ale na jeden łyk. Dziwna rzecz, że w domu bardzo mi szkodzi jedna kropla, a tu pozwalam sobie po kieliszku. W dyliżansie przez wię-

szą część drogi towarzyszył nam oficer, który jako tako mówił po niemiecku, na jednym popasie spotkaliśmy znowu oficera, mówiącego po francuzku, i starali się nas obznajomiać ze wszystkiém, co jest w kraju. We wyższych społeczeństwach snadno się rozmówić, ale w tém bieda dla podróżnego z naszych stron, że z pocztylionem, kelnerem, dziewczyną służącą, praczką, wszystko trzeba tylko na migi ułatwiać, a nawet lohnlokaje, którzy chcą za dobrych filologów w nowych językach uchodzić, ledwo się wyplotą i to takim akcentem, że nie nad jednym wyrazem długo myśleć przychodzi. Wojsko, ileśmy po drodze widzieli, jest ładne, dobrze wymustrowane, lubo żołnierz tylko trzy miesiące pełni służbę, a dziewięć miesięcy zostaje na urlopie.

Z Götheborgu jutro lub pojutrze puścimy się na obejrzenie kilku wodospadów, a potém udamy się w kierunku Chrystyanii. Sprawiliśmy sobie dobre mappy i słowniki, bo chcemy już ruszać w takie okolice, gdzie prócz krajowego, żadnego nieznają języka. Nie wiem jak to pójdzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Gra w Szachy.

POWIEŚĆ WŁOSKA Z SZESNASTEGO WIEKU.

(Dokończenie.)

Gdybym ciebie do domu wypuścił, działałbym przeciw świętym obowiązkom moim i wystawiłbym siebie na ciężką odpowiedzialność. Połączę jednak chętnie powinność moją z przyjaźnią, którą mam dla ciebie i nie odeszlę cię do publicznego więzienia, jak prawo wymaga. Możesz pozostać przez noc w tak zwaném więzieniu domowém w moim pałacu, bo każdy z trzech inkwizytorów państwa naszego ma takie u siebie więzienie. Na niczém ci tu zbywać nie będzie, jak sobie wystawić możesz i będziesz miał czas dostateczny do namysłu. Gdybyś jednak uparł się na swojem zdaniu i odwoływał się do wyroku wysokiéj rady dziesięciu, natenczas bądź przekonany, że z całem przywiązaniem do ciebie ujmę się za tobą i wystaram się, abyś karę swoją nie w pozzi odsiedział, które jest bardzo wilgotném, znajdując się pod dnem kanału, lecz pod piombi, (ołowiannym dachem) z kąd jest przecudny widok, lubo latem cokolwiek gorąco.

Kończąc te słowa, rzucił Bernardino srebrną kulę w naczynie metalowe obok stojące. Na ten dźwięk i nim zdołał Anastazjo wymówić słowo, weszło dwóch zbirów z hellebardami do pokoju.

Zaprowadźcie tego pana do domowego więzienia! rzekł zimno senator, podniósł się z swego miejsca i nie spojrzawszy na Anastazego wyszedł do przybocznéj komnaty.

Anastazjo oniemiał na widok odległéj izby, do któréj go wprowadzono. Więzienie to było kratą żelazną zewsząd opatrzone. Rzecz jasna jak na dłoni, że Bernardino zastawił na niego sidła aby dojść do jego tajemnicy, albo naprzypadek oporu, stawić go przed sąd dziesięciu. Jakkolwiek bądź postanowił młodzieniec raczéj odkryć swą tajemnicę przed zgromadzonym sądem, aniżeli ją dać sobie wydrzeć w sposób podstępny i chytry. Stary sługa z rysów twarzy i wymowy na Greka podobny, wszedł w kilka godzin potém do więzienia, przynosząc mu wieczerzą i wino, lecz młodzieniec nie był w stanie przełknąć ani kawałka potraw. Ciągle przechodził się po więzieniu i nie mógł rzucić sie na łoże za nadejściem nocy, tak go gniew, może i obawa, a nadewszystko stracona nadzieja ujrzenia kiedykolwiek Erminii niepokoiły.

Już było po północy, kiedy Anastazjo usłyszał ciche stąpanie pod drzwiami swojego więzienia, późniéj otworzyły się z cicha drzwi, postać zakapturzona weszła do niego, a sądząc, że to najęty morderca chciał już zakrzyknąć i oglądał się na wszystkie strony, by pochwycić cóźkolwiek na swoją obronę, gdy tymczasem postać zrzuca z siebie zasłonę i on poznaje w niéj ukochaną swoją Erminią.

Uspokój się! na miłość boską uspokój się! Przybywam ciebie uwolnić, rzekła spiesznie Erminia.

Jak to? czy to być może, toś ty moja ukochana Erminio, ozwał się Anastazjo.

Dziewica przerwała mu zapytanie.

Nie masz ani minuty do stracenia, jeżeli chcesz szukać ocalenia! Mówiłam z wujem, iż niemogę oddać méj ręki Alexandrowi, on natychmiast odparł, żeś ty tego przyczyną, a ja niezaprzeczałam. Wtenczas wpadł wuj we wściekłość, nazwał cię szarlatanem, rzezimieszkiem, który ujrzy się w dwudziestu czterech godzinach pod dachem ołowianym. Mnie groził klasztorem, jeżeli jutro ręki nieoddam Alexandrowi. Wolę klasztór niż jego, to pewna, lecz tu nie o mnie chodzi, ciebie muszę ocalić lub zakończę życie w kanale. Mówiłam już ze starym greckim służącym, któregoś widział, jego żona była przed laty moją mamką, prosiłam go, aby ci pozwolił uciec, rzuciłam się mu do nóg i on zezwolił nakoniec. Ale i on powiedział, że nie masz dla niego ratunku, tylko w ucieczce, dla tego dałam mu moje klejnoty. On czeka na ciebie i zawiezie cię na gondoli do okrętu z wyspy Hydry, który puści się na morze razem ze

dniem. — Teraz więc ruszaj, ruszaj bez zwłoki, niech cię Pan Bóg prowadzi i przypomnij sobie raz po raz biedną Erminią, która zakończy swe życie śród smutnych murów klasztoru.

Nie, to być niemoże! zawołał Anastazjo objąwszy kibić dziewicy. Nie ruszę się z tego więzienia, jeżeli sama ze mną nie pójdziesz.

Niepodobna! niepodobna! odrzekła przestraszona dziewica.

Więc ja tu pozostanę! rzekł Anastazjo. Jeżeli obierasz klasztor, niech dla mnie będzie mieszkanie pod dachem ołowianym! Przynajmniéj ta mi pozostanie pociecha, że życie pędzić będę blisko ciebie i jedném oddychać z tobą powietrzem.

Jeszcze kilka minut trwał spór między nimi; Anastazjo stał niewzruszony, Erminia nakoniec zezwoliła na ucieczkę. Postanowiono jednak nie uciekać na okręcie z Hydry, lecz na sycylijskim, bo tu znał Anastazjo dowódzcę. Skoro tylko plan ucieczki ułożono, pobiegła Erminia po Greka. Za jego pomocą wydobyła rzeczy na prędce, zarzuciła na siebie płaszcz i wszyscy troje udali się przez ukryte drzwi na gondolę stojącą przy murze pałacu na kanale. Grek dał znak do wsiadania i zawiózł ich ku Lido, gdzie stał statek sycylijski, a na nim przewodnik znajomy Anastazego. Temu oświadczył, że rzecz idzie tu o ucieczkę kochanków, i jeżeli statek za godzinę minie murazzi i szczęśliwie przybędzie do Sycylii, zapłaci mu 500 cekinów. Z radością przystał właściciel statku. Ofiarowana summa przechodziła wszelkie jego nadzieje i już godzina odjazdu nadeszła. Przygotowano wszystko co było na drogę potrzebném, i nim godzina upłynęła, już statek pełnémi żaglami wypłynął po za przerwę murazzi.

Podróż szła nadzwyczaj szybko. Z przestrachem patrzyła Erminia na każden żagiel ukazujący się na horyzoncie, ale szczęśliwie przejechali zatokę adryatycką, niespotkawszy ani jednego okrętu, któryby miał flagę na maszcie, przedstawiającą lwa ze San Marco. Po kilku dniach ujrzano Sycylią, z radością żeglujących płynął okręt ku Syrakuzie. Tam postanowił Anastazjo osieść pod przybranem nazwiskiem i dopełnić obowiązków względem marynarza, a to za pomocą drogich kamieni. Chociaż znaczną gotówkę zostawił w pomięszkaniu swojém w Wenecyi, nie żal mu przecie było tego, gdyż dosyć miał jeszcze kosztowności, które wystarczały mu na porządne życie z Erminią, bez chwytania się gry, któréj teraz z całéj duszy nienawidził.

Kiedy szczęście zawiodło Anastazego w odmęt życia między książąt i panujących i wielkie imie jego upowszechniło, tymczasem bardzo ograniczyło siostrę jego Kamillę. Żyła ona wprawdzie w pokoju ze swym Geronimo, dwa dzieciaczki drzymały w kolebce, ale rybactwo wiele nieprzynosiło i młoda para dosyć biedy wycierpiała. Przed kilku tygodniami burza porwała część jego sieci, a teraz nowa podniosła się, młody rybak wstał z łoża i udał się do czółna, aby go burza nie zerwała. Wiatr szeleścił okropnie, Kamilla przy kominku czekała na powrót swego męża i niebyła w stanie podsycać ognia. Nakoniec bardzo pomięszany powrócił do izby.

Madonna! zawołała Kamilla przestraszona. Czy cię spotkało jakie nieszczęście, czy czółno nasze burza uniosła?

Gorzéj jeszcze, odparł Geronimo i rzucił się na krzesło. Otoż dziś zupełnie podupadliśmy, jesteśmy żebrakami. Nasza łódź leży rozbita na skałach.

Boże! zawołała Kamilla, załamując ręce i tonąc we łzach. Proszę cię mój Geronimo na Boga, nie patrz tak z rozpaczą na mnie! Być może, że znajdziemy sposób do życia.

Jaki? pytam jaki? odparł z goryczą Geronimo. Sieci niemamy, łódź rozbita, a ja rybak, cóż rybak bez czółna i sieci?

Starać się będziemy o inną robotę, aż zarobimy znowu na łódź i siecie.

Inną robotę? Jaką? czy ty potrafisz pracować, mając u łona dwoje dzieci? A ja jako majtek, czy mogę znieść wasz głód pracując na okręcie?

Bóg nam dopomoże! pocieszyła go Kamilla.

Mówiłaś podobnie, kiedy nam burza sieć porwała, rzekł młody rybak pełen rozpaczy.

Kamilla wpadła w ciężką zadumę. Nakoniec wstała i położyła swą rękę na ramieniu swego męża.

Dotąd mój Geronimo ukrywałam przed tobą jedną tajemnicę! Doktór umierając, dał mi ten amulet, który na szyi noszę. — Wydobyła przytém z zanadrza maleńki woreczek zaszyty. — Mówił mi, że mam go rozpruć, kiedy mnie nędza dotknie bez mojéj winy. Sądzę, że niemożemy sobie czynić żadnych wyrzutów, mamy sumienie czyste.

Geronimo wzdrygnął ramionami. Pomacał palcami amulet i rzekł: papier jest w tym woreczku! Zapewne zapisał doktór na nim jaką modlitwę lub słowo Boże — a bieda i tak nas nauczyła modlić się.

Nie mów tak mój Geronimo! Nie mów tak! Inaczéj nie mogłabym cię tak kochać, jak cię kocham, odrzekła Kamilla. Dodał nadto doktór, że nam otwarcie to dopomoże, ja rozpruję woreczek.

Na te słowa rozcięła nożem szewek i wydobyła papier. Rozwinęła go, rzuciła nań okiem i położyła go ze smutkiem na stół.

Pismo zatarło się! rzekła po małym przestanku. Był tylko jeden wiersz napisany, pierwsze słowo jest jeszcze czytelne i znaczy: szukaj, ostatnie ile mnie się zdaje: pod drzewem, reszta wcale jest nieczytelna.

Mówiłem, że na nic się papier nie przyda, odrzekł Geronimo.

Potém obracali papier na wszystkie strony, ale napróżno, nie mogli nic więcéj wyczytać.

Widzisz więc, żeś napróżno nosiła tyle lat ten woreczek. I rzucił papier w ogień.

Nie, tego nie dopuszczę, zawołała Kamilla i pochwyciła papier z płomienia. Doktór to mówił z wielką dla mnie przychylnością, zachowam papier jego na pamiątkę. Ale co widzę? Patrz mój Geronimo! cud, pismo się wydobyło.

Zapewne atrament, którym wyrazy napisał doktór, był z chemicznych złożony pierwiastków, bo za dotknięciem płomienia, wyszedł czytelnie na poczernionym papierze. Wiersz był następujący: Szukaj pod drzewem pomarańczowém.

Czy ty wiesz teraz więcéj, odrzekł zniecierpliwiony Geronimo. Pod którém to drzewem pomarańczowém szukać będziesz, kiedy ich przeszło milion jest w Sycylii.

Około domu doktora jest tylko jedno drzewo pomarańczowe, odparła Kamilla. Pod niém znajdowała się ławka kamienna.

A pod nią ani jednego bajoka, tak jak w mojéj próżnéj kieszeni, westchnął Geronimo.

Nie zaszkodzi nam poszukać, ja mam dobre przeczucie, zawołała Kamilla. Pójdź Geronimo! weź motykę, ja wezmę rydel i obaczymy.

Próżna praca, rzekł mąż, wstrząsając głową na znak zwątpienia i nie ruszył się z miejsca.

A więc ja sama pójdę! rzekła Kamilla i przyniosła motykę.

Nie czyniąc żadnych uwag, odebrał żonie Geronimo motykę, przyniósł rydel, i pośli oboje nad brzeg morza do ruiny domu, który stał o pół godziny drogi od ich mieszkania.

Tu wszystko stało pustkami. Pokrzywy wyrosły na łokieć około domu Nerego, któren omijali rybacy zabobonni, sądząc, że w nim mieszkał czarodziéj, który i po śmierci tam jeszcze bawi. Stare drzewo pomarańczowe zwieszało poważnie swoje konary, a ławka kamienna cierniem i ostem zarosła. Po oczyszczeniu miejsca, podważyli ławkę; w tém nagle zawołała z uniesieniem Kamilla: Patrz, oto blaszana szkatułka, poznaję ją, widziałam tę szkatułkę u Nerego. Zobaczmy! — Geronimo otworzył i wykrzyknął z radości. Połyskujące cekiny, olśniły jego oczy, było ich 500, na nich leżała kartka z napisem: „grosz ostatni dla Kamilly.“

Młoda para to płakała, to śmiała się z radości. Już teraz skończyła się ich bieda, teraz mogli siecie i barkę sobie sprawić i podeprzeć gospodarstwo. Jako nieszczęściu zawsze niemal towarzyszy drugie, tak i szczęście z drugiém idzie w parze. Kamilla w tym samym dniu, w którym skarb znalazła, uściskała téż swego brata. Anastazjo z Erminią przybyli do Syrakuzy. Przypadki w Wenecyi, zohydziły mu grę nałeżycie, a obawiając się daleko sięgającego ramienia rzeczypospolitéj weneckiéj, postanowił nigdy nie występować pod nazwiskiem sławnego Anastazego Boy. Ztąd też przedał swe klejnoty i poszedł za radą Nerego, został nauczycielem matematyki. Po połączeniu się z Erminią węzłem małżeńskim, udał się do Palermo, gdzie otrzymał urząd dostateczny do utrzymania siebie i swojéj małżonki. Nauczyciel Anastazjo Bovi wkrótce zasłynął jako jeden z najdzielniejszych matematyków włoskich, jakkolwiek nie tak prędko przebrzmiało w ustach świata imię sławnego mistrza szachów, który nagle zniknął w Wenecyi. Signor Bernardino nigdy nie wpadł na myśl, aby ostatniego poszukać w osobie pierwszego, a Anastazjo nigdy nie dotknął się szachów, mówiąc do siostry i skazując na Erminią, iż ostatnie pociągnienie było dla niego najszczęśliwszém w życiu.

Powiastki i opowiadania żołnierskie

z wojen od 1799. do 1812. r.

przez

AD. AM. KOSIŃSKIEGO.

Trzy tomy. Wydanie J. N. Bobrowicza.

Wielkie wypadki historyczne, które wstrząsnęły narodami od wschodu do zachodu, i w odległe wyprawy przerzucając ludy, różnojęzyczne i różnoobyczajowe plemiona kojarzyły ze sobą, stanowiły zawsze wielkie epopeje dziejowe, płodne w najrozliczniejsze obrazy i wypadki. Czas z wolna wydobywa jedne po drugich z tego natłoku i zamętu współczesnych czynów i wydarzeń; w pamięci dopiéro potomnych odżywają opowiadania bohaterów czasu i krwawe obrazy ubierają się w strojniejsze barwy; idealizuje się rzeczywistość złożona w obrazach wielkości i nikczemności osób co występowały na scenę; z ludzi tworzą się półbogi lub półszatany, i składa się wielki dramat epiczny, z tysiąca żywych epizod złożony, nakształt Homerowych pieśni.

Takim wielkim dramatem dziejowym był czas rewolucyi francuzkiéj i wojny Napoleona. I dzieje Polski stanowią jednę z tragicznych scen tego dramatu, jednę ciekawą epizodę w onéj kilkanastoletniéj epopei narodów. Drugie już od owych czasów dorasta pokolenie, a dopiero teraz to z zasłychu, to z pamiętników wynurzają się u nas z owéj wielkiéj przeszłości pojedyńcze ustępy, chciwem przez nas chwytane okiem, choćby też tylko piórem prostego żołnierza kreślone, co pałasz na igłę zamienił i dziś na poddaszu krawcząc dla zarobku, w czasie wolnym od pracy z pamięci nam opowiada to wszystko na co się patrzał i w czém sam brał udział.

Powiastki żołnierskie Kosińskiego są z téj samej epoki. Kilka z nich, jakoto: *Vivat Polonus unus defensor Mariae* i zajmujące *Powstanie w la Chiesa* czytaliśmy już w Bibliotece Warszawskiéj. Tom każdy obejmuje cztery powieści. Nie opowiadają nam saméj wojny, ni walecznych czynów licznych wodzów wielkiéj armii francuzkiéj, ale malują nam awantury i wyprawy pojedyńczych oficerów i żołnierzy, najczęściéj samego autora pamiętników. Zgoła nie są to obrazy z owych wielkich czasów, ale obrazki. Męztwo idzie wszędzie z miłością w parze. Boje i sława rycerska przeplatane intrygami miłosnemi. Do tego trocha przechwałki żołnierskiéj i poezyi w zestawianiu dziwnych nieraz cudownych trafunków i okoliczności. Są to przecież obrazki rzucone na świetném tle dziejowem, i z niego biorące koloryt; są to barwiste kwiateczki uszczknione na wielkiém polu sławy. Dodajmy do tego żywe, jasne, obrazowe opowiadanie autora, choć co do języka nie wszędzie poprawne, a odgadniemy przyczynę, że z taką przyjemnością i ciekawością wzrastającą, powieści te się czytają. Najwięcéj im uroku dodają z żywego natchnienia kreślone obrazy okolic, gmachów, ludzi i scen wojennych, n. p. gdy opisuje katedrę Sewilską, otwiera nam zaraz perspektywę na przeszłość z któréj powstała i na charakter ludzi, co ją budowali.

A opisawszy malownie i cudnie katedrę — moscheą, dopiéro przystępuje do opisania odbywającego się w niéj ślubu Sennory Teresy des los Dolores hrabianki Cordowy.

Czy ty znasz czytelniku, co to jest Sewilska katedra? Czy myśl twoja silna, potężna, zobaczywszy rodzinnych stron biedne i chłodne kościoły, opuściwszy klety, których pierwszy budownik wstydzi się, w których Bóstwo za dumne, aby zamieszkało kiedy — czy ta myśl, przenieść zdoła się w te świątynie południa, olbrzymie jak wiara ludu który je wzniósł — bogate jak jego wyobraźnia — piękne jak niebo o którém on marzy, ku któremu kieruje swe chęci i wolę, które go ogrzewa, którém on oddycha i żyje.

A naprzód spojrz na tę piramidalną wieyżcę, nie wieków, nie miliona ludzi to dzieło, jeden człowiek ją wzniósł, jeden człowiek geniuszem swoim i silną wolą, nakreślił tę poezyą murów, harmonijnie poplątał w wiersze, w strofy, te olbrzymie łuki natchnął życiem i duszą zimne głazy, że one odczepione od ziemi, rwą się gwałtem, namiętnie w obłoki, w niebiosa, niby tam było ich życie — jakby tam przed tron Boga światów, Pana tworów, chciały nieść w hołdzie, nie brud uczuć ludzkich, nie chrap ich słów, ale siebie samych, siebie w szaty świąteczne strojnych, dziewice głazów, psalmy Dawida, a psalmy bez krwi, bez łez i utysków skargi.

Wielki to musiał być człek, co tak pojął harmonią przyrody, że choć z nią rozbrat swojém dziełem uczynił, przecież ona w niém stoi, w niém żyje, w nie wlała ona co tylko najpiękniejszego utworzyła sama — greckich skał piramidy, ponurą cyprysów powagę, świeżość kiści palmowéj, wysmukły układ zwojów olbrzymiéj topoli.

I ten człek niemusiał być zimnéj północy dziecięciem, nie staréj spróchniałéj Europy rodakiem — gdyby on nim był, myśl jego nie tak zuchwale piosenką kamieni strzelałaby w niebiosa, on byłby zagrzązł przy ziemi, rozbił się o kilka cali nad nią, bo słońce skwarne i wrzące, zgniotłoby jego dumę, zwątliło wolę — on nimby do połowy dowiódł swe dzieło, spojrzawszy w górę co mu czynić zostaje, i na dół, co już uczynił, zląkłby się pierwszy dzieła swojego, niewierzył w nie, lub bił czołem pokornie, twórca przed swym tworem.

I tak jest w istocie, człowiek stworzyciel tego olbrzymiego dzieła, tego himnu, przed którym biednieje najpiękniejszy z Dawidowych kantyk — ten człowiek zwycięzca przyrody czasu a może i siebie, był to Maur, Maur Ommiadów, Arab, dziecię skw[illegible]go Jemenu, Afryki.

Jego nazwa, niesądźcie przecież aby nieznaną Europie była, każdy prawie z was czytelnicy ją zna — wasi mędrcowie hołd mu biją wdzięczności, wasze dzieci przeklinają go na szkolnych zasadzone ławkach, wasi spekulanci, dzięki mu, czerpają pełną garścią złoto; ale nikt go, albo mało kto zna w najszczytniejszym utworze wyobraźni w Giraldzie, wszyscy tylko, w dzikim wymyśle, co cyfry zmienił na słowa, zimne machinalne rachunki na dzieło głowy i sądu — każdy zna go w Algebrze!

Tak, Mohamed abn bekir el Guevra, twórca, Giraldy, pierwszy rzucił szczytną myśl materyi, uharmonizował zimne zwłoki liczb, jego dziełem Algebra.

Jak on mógł, jeden i ten sam człowiek podołać dwom tak sprzecznym ideom? Wysnowawszy z swéj głowy i duszy najszczytniejszą poezyą myśli, jak on mógł rzucić się w kał rachunków, nadać im nowy popęd, barwę i życie.

Ale zastanówmy się, co to jest Algebra.

Nie jestże ona Poezyą zimnéj rachuby, niewleważ duszy w zimne cyfry, nieukładaż ją w wyrazy, strofy, piosenki? Wynalazca cyfr, musiał być koniecznie prozaiczny człowiek — swą wygodę i zysk na celu miał, jawił swój byt, krył w cugach pióra swoje bogactwa, obliczał przebieg, — ale wynalazca Algebry, mowy rachunkowéj, wyobraźni sądu, musiał być koniecznie poetą...

Wieczna ci cześć, wieczna chwała Mohamedzie Al Guevro, wieczna chwała twojéj Giraldzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

— Wiadomą jest rzeczą, że wiele machin wynaleziono do rachowania. John Clark wynalazł nawet machinę do robienia wierszy: i to wierszy łacińskich hexametrowych. Rzecz nie jest zmyśloną; wynalazek ten był przedstawiony jednemu towarzystwu uczonemu. Wiersz jeden na minutę utwarza.

— Hiszpańskie gazety opowiadają, że w jednéj okolicy zazdrościli wszyscy pewnemu młynarzowi bogactw i niebawem wybrali go sobie rozbójnicy za ofiarę. W dniu naznaczonym na napaść, przybyło kilku dymissyonowanych żołnierzy na nocleg do młynarza; właśnie kiedy już spali żołnierze, wpadają rozbójnicy i wołają na niego o pieniądze. Młynarz przyrzekł im je przynieść, poszedł pod dach domu, a obudziwszy śpiących żołnierzy, za ich pomocą pobił wszystkich zbójców. Nazajutrz poszedł do alkadów wsi, donieść o wypadku i nie zastał alkada, ani zastępcy, ani podzastępcy jego. Młynarz wrócił do domu i kiedy przypatrzył się trupom, obaczył, że mieli maski na twarzach, a zdarłszy je, poznał, że to trzech ubił alkadów wiejskich.

MODY.

Paryż, dnia 20. Sierpnia 1845.

Do ubiorów letnich dobrze wyglądają fartuszki, i dla tego widzieliśmy po parkach swoich przechodzące damy, ubrane w szlafroczki cwelichowe lub pasiaste pekinowe, które miały fartuszki z zielonéj lub niebieskiéj, a nawet różowéj mory, oszyte naokół niekręconą fręzlą, weneckiemi koronkami, lub téż zwyczajną czarną lub białą koronką.

Na wsiach noszą tylko rękawiczki ze szwedzkiéj skóry.

Widzimy wprawdzie długie szale z téj saméj co suknie tkaniny, ale tym tylko damom możemy je polecić, które lubią oszczędność. Jedyne szale modne są teraz z grenadine, krepy chińskiéj, z czarnych koronek i haftowanego muślinu. Szczególniéj wyrobione z krepy chińskiéj, powinny być suto haftowane, inaczéj zbyt pospolicie wyglądają.

Między wielu ubiorami, możemy następujące polecić: Ubiór na wieczór, suknia muślinowa, któréj stanik wycięty ozdobiony jest maleńkim szalikiem z haftowanego muślinu, lub orzuconego wązką koronką. Szalik ten, czyli wyłogi, przechodzą na dół i rozchodzą się od przepaski po powłoce. U brzegu na dole przechodzą naokół sukni, tworząc tym sposobem pewien rodzaj tuniki. U małych rękawów podobne wyłogi. Przepaska różowa i z białéj, tak zwanéj wstążki bajaderowéj, naprzodzie związana, końce wolno opuszczone. Podobna wstążka zdobi włosy uczesane.

Szlafroczek z gros de naplu, w małe różowe poprzeczne paski. Gładki stanik z małym i bardzo otwartym szalikiem, orzuconym różową i białą fręzlą. Podobna fręzla ukazuje się na powłoce w podwójnym rzędzie, wśród niéj rząd jeden oliwek, mający z każdéj strony kutasy. Rękawy są krótkie, bez palcy, z białych koronek. Półkoszulcze koronkowe; maleńki czepeczek bez garnituru, pokrywający tylko cokolwiek włosy i osłoniony lekkim wiankiem z liścia, który z boku zakończa się w kokardę z różowej lub białéj wstążki.

Przed dwudziestu laty nosiły damy bardzo jaskrawo odbijające kolory, które od zasad dobrego smaku odstępowały. Teraz przekonano się, że prawdziwa elegancya zależy na prostocie i że suknia ze skromnéj tkaniny, zgrabnie wystrojona, pewniéj okaże nam damę comme il faut, aniżeli suknia z pekinu, lub królewskiego damastu.

Objaśnienie ryciny.

1) Kapelusz z mocnéj słomy, na wieś przeznaczony, jedną wstążką ozdobiony. Płaszczyk latowy z muślinu, suknia z kozich włosów.
2) Kapotka krepowa. Tunika i suknia kitajkowa. Półkoszulcze i rękawki z haftowanego muślinu.
3) Szary kapelusz. Krótki surdut. Kamizelka z angielskiej piki. Latowe pantalony.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*